ROK II — NR 3
MARZEC
WILNO 1934



MIESIĘCZNIK
MŁODYCH
KATOLIKÓW

Uczył Marcin Marcinka...

... a sam głupi jak świnka — tak oto scharakteryzował nasz Manifest [1]) red. Mackiewicz w art. „Legjon Młodych — dobrze, ale Odrodzenie — też!" („Słowo", nr. 55). Red. Mackiewicz zarzuty swoje oparł na twierdzeniu, że poza Balzakiem w przekładzie Boya i pożyczonemi „Wiadomościami Literackiemi" nic nie czytamy, nic nie wiemy, a z tem wszystkiem wywieramy niesłychany wpływ na profesorów U. S. B. Red. Mackiewicz jako dziennikarz czyta zapewne dużo. Pisząc o naszym Manifeście nie pofatygował się jednak nietylko przeczytać paru numerów PAX'u, ale chociażby tego, co pisał w jego własnym dzienniku, kpiący z nas ile wlezie dr. W. Charkiewicz (który nota bene zadeklarował się jako nasz przyjaciel i winienby wobec tego być czem prędzej usunięty z redakcji „Słowa" jako „bolszewik" i „komunista").

Otóż świetnie poinformowany red. Mackiewicz bierze PAX za organ „Odrodzenia", imputując zaś komunizm „Odrodzeniu", imputuje go i PAX'owi. Nie zmuszamy go do czytania ubiegłych numerów PAX'u, gdzie (co numer) znalazłby artykuły bezwzględnie, wyraźnie antykomunistyczne, antysowieckie[2]). Ale akurat w tym samym tak krytykowanym numerze PAX'u był artykuł W. Rudzińskiego p. t. „Muzyka w Z. S. S. R.". Owóż artykuł ten (poza częścią informacyjną) wykazał, że w Rosji Sowieckiej „burżuazyjni" kompozytorzy w. XVIII i XIX odpowiadają proletarjatowi rosyjskiemu wielekroć więcej, niż artyści tworzący ściśle w duchu bolszewickim; dalej autor opowiada w jaki sposób rząd walczy z temi niepokojącemi dlań objawami. Artykuł ten wykazuje na podstawie doświadczeń sowieckich, że nie można traktować sztuki jako wytworu ściśle klasowego, przeznaczonego dla klasy, z której pochodzi artysta, co jest oficjalną doktryną marksizmu sowieckiego. Ale w redakcji „Słowa" czytanie podobnych artykułów należy zapewne tylko do prof. Józefowicza.

Red. Mackiewicz nie znajduje (poza dwoma zdaniami cytowanemi) w naszym Manifeście „ani jednego zdania przytomnego". Ręczy za to czytelnikowi. Świadczyć to ma zapewne o nieprzytomności Manifestu. O poziomie polemiki red. Mackiewicza świadczy natomiast jego nabijanie się z naszego określenia kultury („najogólniejszego określenia", jak pisaliśmy, nie zaś definicji), do czego skwapliwie przyłączył się w następnym numerze p. K. P. Przypominamy sobie, że i dr. Charkiewicz coś pisał o tem — widocznie w tym punkcie redakcja „Słowa" jest dziwnie jednomyślna. Zapewne głębokie studja nad teorją kultury do tej jednomyślności doprowadziły. Głębi tych studjów bardziej chyba odpowiadałoby określenie kultury dawane zwykle dziatkom ze szkółki powszechnej: „Kultura jest to suma dóbr materjalnych i duchowych". Gdybyśmy tak określili kulturę bylibyśmy zapewne wedle opinji tych panów ze „Słowa" ściślejsi. O ile Panowie nie pojmują dlaczego najogólniej określiliśmy kulturę jako „postawę człowieka wobec życia i odcisk tej postawy w świecie zewnętrznym", to trzebaby się trochę zapoznać ze współczesnemi prądami naukowemi w tej dziedzinie. Każdy uczeń kl. VIII gimnazjum powiedziałby Panom, że definicja, określenie choćby najogólniejsze nie da się zrozumieć, jeśli nie rozumie się poszczególnych jego terminów. Trzebaby zrozumieć dlaczego mówi się o „postawie człowieka" (świat psychiczny), co to jest w danym wypadku „świat zewnętrzny" (świat ducha, — „geist" w przeciwstawieniu do „Seele" — i świat fizyczny) i co może tu znaczyć słowo „odcisk". Zapewniam Panów, że kultura to nie „odcisk". W literaturę przedmiotu doskonale wprowadza broszura B. Suchodolskiego „Przebudowa podstaw nauk humanistycznych". Broszura liczy 63 strony i napisana jest — zaręczam — bardzo przystępnie. Po zapoznaniu się najogólniejszem z tematem, trzeba czytać dalej, żeby bowiem krytykować takie czy inne określenie kultury nie wystarczy być tylko posłem do Sejmu lub dobrym reporterem.

Czyż damy radę wszystkiemu, co wypisuje dla spokoju — jak twierdzi — swego sumienia redaktor Mackiewicz i p. Pruszyński? Zbyt wiele musielibyśmy pisać. Aczkolwiek np. dzisiejszy ustrój gospodarczy zwany kapitalizmem jest niemoralny — pisaliśmy w Manifeście o *kulturze*, nie o kapitalizmie. Panowie nam zarzucili dialektykę marksowską. Tak? Dialektyka marksowska nie przewiduje, proszę Panów, *trzeciego czynnika*, gdy dwa są w walce, my zaś wierzymy, że ten trzeci czynnik *jest możliwy*, my *chcemy go tworzyć*. Właśnie Panowie, ściągający w swej krytyce całą kulturę do zagadnień gospodarczych (kapitalizm, gdyż Waszem zdaniem Manifest pisał o tych zagadnieniach, gdy w istocie ich niemal nie dotykał), właśnie Panowie ujmują sprawę według zasad marksizmu. Redaktor Mackiewicz powinien zwrócić uwagę prokuratora na własną redakcję z sobą na czele.

Jedyną rzeczą, której mogą się teraz Panowie trzymać, to zwrotu, że „w niczem innem nie możemy się różnić od bolszewików" w walce z drugim obozem

[1]) Por. „Pax" 1934 nr. 1. [2]) S. W. K. „Marks, a Tomasz z Akwinu" (nr. 5), W. S. „Paradoksy komunizmu" (nr. 6), Deukaljon „Czerwona zaraza", Westfalewiczówna „Ryby, filmy sowieckie i teatr" (nr. 7—8), W. Z. „Czerwone marzenia — czarna rzeczywistość" (nr. 9) i inne.

materjalizmu mniej jawnego, ale ogromnie przez to groźnego. Otóż wyjaśniamy Panom dziennikarzom, że możemy się różnić, że różnimy się znacznie. Dowodem tego — nasze pismo. Był to zwrot polemiczny, a podobnych używał ileż razy sam red. Mackiewicz [1]). Zwrot ten jest zwany „przejaskrawieniem", a jest dozwolony zawsze, ilekroć czytelnik zdaje sobie jasno sprawę, że jest to właśnie „przejaskrawienie". Dla czytelników PAX'u jest to napewno zupełnie jasne. Nie obliczyliśmy jednak członków redakcji „Słowa".

Redaktor „Słowa" pouczał nas o różnych jeszcze innych rzeczach. Pouczał nas również p. K. P. Niestety, poziom ich artykułów dowodzi, że obaj uczyli właśnie jak Marcin z przysłowia.

aga.

Pan Bocheński ma rację...

Pan Bocheński ma rację [2]), gdy mówi, że planowość, o której pisałem w grudniowym numerze „Pax'u", różni się od planowości bolszewickiej ilościowo, a nie jakościowo. Tak jest w rzeczywistości, jeżeli chodzi o ideę planowości w oderwaniu od jej praktycznego stosowania i motywów, dla których ją się stosuje. Nie czuję się tem porównaniem wcale zmiażdżony. Odwrotnie, chętnie ułatwię p. Bocheńskiemu utwierdzenie się w powziętem mniemaniu, wskazując mu artykuł dyskusyjny w Nr. 13 (2903) „Kurjera Wileńskiego" p. t. „Odcinek uspołeczniony".

Zdaniem mojem różnice, określone przez p. B. jako ilościowe, w praktyce nieraz mają o wiele większe znaczenie od różnic jakościowych. Umiejętność zachowania w każdej rzeczy umiaru i nie przerzucania się z krańcowości w krańcowość często w większym stopniu decyduje o słuszności, niż doktrynerskie i kurczowe trzymanie się jednych „izmów", a unikanie innych. Gdybym chciał, mógłbym zarzucić p. Bocheńskiemu, że poza liberalizmem w ekonomji nic nie widzi i miałbym prawdopodobnie więcej słuszności, niż w swym liście do Redakcji „Pax'u" pan Bocheński, który nie może się w swej argumentacji obyć bez bolszewickiego straszaka.

Operowanie w dzisiejszych czasach w dziedzinie gospodarczej pojęciami czystych „izmów", zalecania w klasycznej, czystej formie jakichś systemów, jak liberalizm, kolektywizm, etatyzm, faszyzm, hitleryzm, czy cokolwiekbądź innego świadczyć może tylko o symplicystycznem ujmowaniu zagadnień, braku niezależnego, krytycznego poglądu na te wszystkie systemy. To samo można powiedzieć o namiętnem zwalczaniu jednego z nich, jak to robi p. Bocheński w stosunku do etatyzmu.

Ze stanowiska katolickiego nie wynika ani liberalizm, ani etatyzm, ani kolektywizm w dziedzinie społecznej, ale, podobnie jak w innych dziedzinach życia, wynika tylko uniwersalizm katolicki.

Właśnie w imię tego uczciwie pojętego uniwersalizmu katolickiego trzeba umieć oddać każdemu systemowi społecznemu to, co mu się słusznie należy, podnieść tkwiące w nim ziarna prawdy, wytknąć błędy. W uniwersalizmie katolickim tkwi cała tajemnica postępu, polegająca na tworzeniu rzeczy nowych w oparciu o dawne zdobycze, zdobycze zazwyczaj sprzecznych kierunków ideowych.

Co właściwie p. Bocheński rozumie przez miano różnic jakościowych i ilościowych? Twierdzę, że między temi dwiema różnicami niema takiej różnicy, którąby usprawiedliwiała ścisłość użytych określeń: „jakościowa" i „ilościowa".

Określenie „ilościowa różnica" może być stosowane tylko wówczas, gdy się ma do czynienia z jednostkami jednorodnemi lub częścią i całością jednorodnej masy. W pojęciu każdego z systemów społecznych mieszczą się zwykle elementy składowe różnorodne, i nie można powiedzieć, aby jeden z elementów, izolowany od reszty, różnił się tylko ilościowo od całości systemu, podobnie jak nie można powiedzieć, aby wszystkie elementy składowe jednego systemu stanowiły jego wyłączną własność.

Nietylko w wyobraźni, ale i w rzeczywistości konkretnej udaje się z elementów o różnym rodowodzie tworzyć nowe systemy na prawach zbliżonych do zasad reakcji chemicznej.

Planowość w systemie bolszewickim jest jednym z elementów, tak jak kolektywizm, materjalizm, bezbożnictwo. Między poszczególnemi elementami zachodzi wyłącznie jakościowa różnica. Można mówić o stosowaniu kolektywizacji w rolnictwie, w przemyśle, w handlu. Pomiędzy terenami stosowania kolektywizacji zachodzi również raczej jakościowa, niż ilościowa różnica, zwłaszcza, że stosowanie jej na każdym z tych terenów może mieć odmienne uzasadnienie.

Jednak dla ludzi doktryn, liberalizmu, etatyzmu, czy komunizmu, w ramach poszczególnych systemów istnieją tylko różnice ilościowe. Plan piatiletki np. z roku na rok przewiduje dalszy postęp socjalizacji i postęp ten określa w procentach.

Zgadzam się z panem Bocheńskim co do jego sądu o moich poglądach, ponieważ jest on również człowiekiem doktryny, człowiekiem liberalizmu i ze swego punktu widzenia ma rację. Być może nawet, że zgodnie ze swą teorją ilościową mógłby p. Bocheński określić, w jakim procencie bezrobotni uczestniczą w życiu gospodarczem Polski, coby mu w konsekwencji pozwoliło ocenić, w ilu procentach jestem etatystą przez to, że na odcinku polityki pracy propaguję zasadę planowości.

Chcę oszczędzić p. B. tej żmudnej i jałowej pracy przez wykazanie, że stosując na określonym odcinku określoną metodę, czynię to nie dlatego, że jestem entuzjastą tej metody samej w sobie, i że chciałbym jej poddać kolejno wszystkie dziedziny życia. Skłania mię do tego tylko przeświadczenie, że na danym odcinku dana metoda jest najlepsza i jedyna, co nie przesądza stosowania gdzieindziej innych metod zależnie od potrzeby.

Pewne dziedziny życia w obecnych czasach wyraźnie domagają się załatwienia na drodze ingerencji władzy państwowej w życie gospodarcze społeczeństwa. Jeżeli obawiamy się tej ingerencji państwa i jest ona dla nas niepopularna, to może dlatego, że państwo, nie chcąc w jednej dziedzinie wystąpić zdecydowanie, w innych dziedzinach niepotrzebnie wyładowuje swoją energję na stosowanie różnych niefortunnych półśrodków.

Dziedziną, która dojrzała do zdecydowanej ingerencji państwa, jest dziedzina nadmiernej podaży pracy. Bezrobocie stało się zjawiskiem chronicznem. Bezrobocie ciąży na budżecie państwa i obywateli. Tworzy się olbrzymie fundusze na utrzymanie przy życiu bezrobotnych, dba się o moralno-wychowawczą stronę okazywanej bezrobotnym pomocy, przedkładając metodę zatrudnienia nad metodę rozdawnictwa, ale nie myśli się o trwałej likwidacji bezrobocia, co jest możliwe w razie oparcia zatrudnienia bezrobotnych, organizowanego przez państwo, o zasadę gospodarki planowej

[1]) Por. orz. Sądu Marsz. w sprawie pos. Mackiewicz — Zwierzyński *(przyp. red.)*.

[2]) Por. List do Redakcji p. A. M. Bocheńskiego „Pax" nr. 1. 1934.

i samowystarczalnej w ramach możliwości i potrzeb bezrobotnych.

Dotychczasowa nieudolność gospodarki państwowej może nakłaniać do pozostawienia inicjatywie prywatnej wszystkich odcinków życia gospodarczego, na których ta inicjatywa wystarcza. Jeżeli jednak istnieje taki odcinek, jak bezrobocie, gdzie wysiłki osób prywatnych nic nie wskórają, próby ze strony państwa w kierunku stworzenia na tym odcinku trwałych zdobyczy nie powinny ustać. W próbach tych nic nie powinno zrażać. Zgodzi się ze mną p. Bocheński, że skoro już na jakimś odcinku jest, albo musi istnieć z tych czy innych racyj gospodarka państwowa, gospodarce tej winien przyświecać plan, a nie bezplanowość.

Plan ten trzeba stworzyć i dążyć do jego udoskonalenia. W stworzeniu i stosowaniu planu nie może przeszkadzać obawa zbieżności ilościowych, czy jakościowych z ułamkami systemu bolszewickiego czy jakiegoś innego.

Przypuszczam, że gdyby p. Bocheński, zamiast biadania nad wadliwą polityką rządu w dziedzinie ogólno-gospodarczej i ustalania charakteru różnic pomiędzy znaczeniem wyrazu planowość w zależności od długości geograficznej, pod którą został wypowiedziany, zechciał przedstawić własny program w sprawie bezrobocia, traktowanego jako smutna, ale prawdziwa rzeczywistość, podjęta polemika stałaby się ciekawsza i pożyteczniejsza.

Józef Święcicki.

Konformizm psychiczny

Ciekawy artykuł p. Adolfa M. Bocheńskiego w pierwszym numerze „Pax'u" stara się czytelnika odrazu zaskoczyć autorytetami św. Tomasza i prof. Zdziechowskiego. Ale zdaje się, że wyszukiwanie sprzeczności w numerze nie jest tak łatwe, jak to wygląda w artykule p. Bocheńskiego. Do systemu komunistycznego redakcja nigdy wiele sympatji nie miała. Artykuł p. Święcickiego nie nawołuje też do wprowadzania planowości w sensie „wschodnim" tego określenia. P. Bocheński dopatruje się tu różnicy ilościowej, nie jakościowej. Czy słusznie?

P. Święcicki wychodzi z założenia, że — bez względu na to, czy bezrobocie spowodował kapitalizm, czy etatyzm — walka z niem jest konieczna. I to nietylko walka obliczona na daleką metę, nietylko walka ze zjawiskiem kryzysu, o którym żaden na świecie ekonomista nie może dziś z całą pewnością powiedzieć, czem on jest i kiedy minie, ale również walka doraźna, walka z nędzą ludzką, z głodem i zimnem. Można usuwać przyczyny nędzy, znosić monopole, zwalczać etatyzm, ale należy koniecznie jako tako zaopatrzyć w środki do życia tych, którzy tych środków nie posiadają. Rozglądamy się dokoła: kto może tych środków dostarczyć. Społeczeństwo. Jak? Jedynie przez państwo. Proszę, jeśli jest jakiś lepszy środek, może p. A. M. Bocheński go wskaże rządowi. Jestem pewien, że rząd z najżywszą radością zdejmie z siebie obowiązek opiekowania się bezrobotnymi i włoży go na cudze barki. Tylko czyje?

Otóż: jeśli domagamy się od rządu opieki nad pozbawionymi pracy, powstaje zagadnienie, jaki należy przyjąć system pomocy. P. Święcicki w swym artykule rozpatruje kilka systemów. Nie będziemy przytaczali jego argumentów. Wnioskiem artykułu jest konieczność wykorzystania pracy bezrobotnych wzamian za pomoc, udzielaną im przez państwo.

I tutaj występuje „różnica jakościowa". P. Święcicki bowiem zastrzega, że prace inwestycyjne, wykonywane przez bezrobotnych, nie powinny konkurować z istniejącemi już przedsiębiorstwami, by nie rujnować ich i nie tworzyć błędnego koła [1]). Odwrotnie: chodzi o prowadzenie takich robót, któreby się planowały „pod kątem widzenia jak najdalej posuniętego dochodu społecznego, obniżenia kosztów produkcji, transportu i t. p.". Więc drogi, kanały, większe meljoracje etc., czyli objekty, gdzie właśnie państwo ma większe szanse, niż (przynajmniej w naszych warunkach) osoby prywatne. W Rosji sowieckiej rozumie się te rzeczy inaczej. Zdaje się, że różnica jakościowa, nie zaś tylko ilościowa, jest widoczna.

Nie będę poruszał w tym krótkim artykule polemicznym zbyt doniosłej sprawy, czy gospodarczy ustrój dotychczasowy przeżył się, czy nie. Nie chcę być zbyt pochopny. P. Bocheński załatwia się z tą sprawą dość bezceremonjalnie. „Mówicie Panowie, że dzisiejszy ustrój społeczny winien jest temu, iż miljony Polaków głodują! Prawda jest: głodują i marzną straszliwie. Powodem jest kryzys". A powodem kryzysu jest etatyzm — powiada p. Bocheński. Może i tak. Nie będziemy przypominali kryzysów dawniejszych: były istotnie nie tak ostre. Zgódźmy się — czy wszyscy ekonomiści świata istotnie się z tem zgodzą? — że przyczyną tego były posunięcia etatystyczne. Nie było ceł, ingerencji państwa, planowej gospodarki. No! ale to wszystko się stało. Jaki ratunek? P. Bocheński nie mówi o tem wyraźnie, ale to wyraźnie wyczuwa się: wrócić do dawnej idyllicznej epoki, do liberalizmu gospodarczego („planowa" gospodarka trustów nie istnieje!), a wszystko będzie dobrze. Wrócić! Ale jak? Historji się nie zawraca. Wrócić! Przykładem usiłowania częściowego chociaż powrotu była londyńska konferencja ekonomiczna. I cóż?

Nie bronię etatyzmu. Ale nie stoję na stanowisku p. Bocheńskiego, który twierdzi: albo etatyzm, czy komunizm, albo dotychczasowy kapitalizm. Tertium datur. Jeżeli mówi się o niesprawiedliwościach społecznych, o przeżyciu się form starych, ma to dowodzić „głębokiego konformizmu psychicznego". P. Bocheński powoływał się w swym artykule na autorytety, powołam się i ja: społeczne encykliki papieskie. Czy najwyżsi zwierzchnicy Kościoła, tak zawsze ostrożni w wystąpieniach (wszyscy ich przeciwnicy w przeciągu dwóch tysięcy lat mogą się uczepić jednej niemal tylko sprawy Galileusza), a wyrażający się o współczesnych stosunkach społecznych ostrzej niż ja, czy papieże również podlegają „głębokiemu konformizmowi psychicznemu"?

P. Bocheński jest innego zdania, p. Bocheński wierzy w formy stare. Zarzuca p. Święcickiemu, że toruje drogę „różnym Zapasiewiczom". Ja zaś powiem, że p. B. toruje drogę bezpośrednio komunizmowi. Trzeba bowiem czuć chwilę. Był taki wojak, nazywał się Napoleon. Umiał wykorzystać sytuację i — mimo, że miał przeciw sobie i rojalistów i republikanów — potrafił uzyskać władzę absolutną, potwierdzoną przez całą ludność. I był taki Burbon, co się zwał: Karol X. Mógł panować gładko, ale nie czuł chwili i zjechał dosyć szybko. Takich przykładów możnaby cytować wiele. Ale — jak to gdzieś czytałem — historja jeszcze nikogo niczego nie nauczyła, choć podobno jest magistra vitae.

Ustrój dawny, przedwojenny, nie wróci, bo minął (niech będzie, że się nie przeżył, ale minął — to fakt, nawet p. Bocheński zapewne to przyzna, choć doda słówko: chwilowo), ludzie bowiem nie mają już doń zaufania. Ale p. Bocheński stoi na stanowisku dyzjunkcji zupełnej: dawny kapitalizm — kolektywizm

[1]) Fundusz Pracy nie zawsze jest konsekwentny w swych posunięciach. Np. w Warszawie otwarto zakłady krawieckie i szewckie dla bezrobotnych. Oczywisty nonsens.

lub etatyzm. My zaś wierzymy w formy nowe. Chcemy ich szukać. I proszę — są koncepcje inne, jest tertium.

P. Bocheński w dyskusji z nami broni własności prywatnej. W ten sposób — może mimowoli — sugeruje czytelnikowi, że przeciw niej występujemy. Mniej uważny czytelnik zaraz krzyknie: „Oho! bolszewicy!" Otóż w całym roczniku „Pax'u" nie znajdzie się ani jednego słowa przeciw własności prywatnej, która jest prawem przyrodzonem, a więc dla nas świętem; znajdzie się natomiast niejedno słowo jej broniące.

Ale przyjąwszy ją (wprawdzie ograniczoną) nie wraca się jeszcze koniecznie do „form starych". Tertium datur. Przypominamy chociażby streszczoną w nr. 5 i 6 ub. roku teorję dystrybutywizmu. Na drobniejszym odcinku wskazalibyśmy na politykę agrarną Czechosłowacji, lub agrarne projekty hitleryzmu. Nie twierdzimy, że to są właśnie te „nowe" formy, doskonałe. Ale to wszystko są możliwości. Nie mniej gorąco od p. Bocheńskiego pragniemy zagłady komunizmu. Ale nie chcemy stać na miejscu, chcemy szukać, wyjście być musi! Dlatego też najgorręcej przyłączamy się do jego apelu: „Do was, młodzi katolicy, i do wszystkich, którym na sercu leży tak zmniejszenie nędzy, jak i potęga państwa polskiego, zwracam się na tem miejscu z gorącym apelem. Starajcie się dotrzeć do istotnego stanu rzeczy, starajcie się zrozumieć, skąd wzięła się sytuacja, w której bezrobotny francuski, czy angielski żyje lepiej od niejednego ziemianina czy urzędnika w Polsce". I — dodamy — starajcie się nie stać na miejscu, lecz szukać ratunku.

Nie chodzi o przyjmowanie gotowych formułek. Dokoła widzimy, jak ludzie rozgoryczeni lub rozdrażnieni ciemnemi stronami dnia dzisiejszego komunizują się, aby zamienić jedno zło na drugie tysiąckroć straszliwsze. Drudzy ze strachu stoją na miejscu — ni drgnąć, ani rozejrzeć się dokoła! Są zahipnotyzowani rzeczywistością — widzą, że jest źle, lękają się komunizmu czy kapitalizmu państwowego i każdy głos, który choć ubocznie w sposób krytyczny odzywa się o obecnych stosunkach, jest uważany za wroga, za kogoś, kto gra na komunistycznych skrzypkach. Z przykrością zmuszony jestem przyznać, że właśnie takie artykuły, jak p. Bocheńskiego dowodzą głębokiego konformizmu psychicznego. Sądzę też, że młode pokolenie polskie nie da sobie wmówić, że oba istniejące dziś systemy są jedynemi możliwemi systemami życia społecznego i że niemożliwy jest system bardziej zgodny z chrystjanizmem.

Jedna tylko uwaga z lęku, żeby nie być demagogiem. NIE ŚPIESZYĆ! Nie zwiększać zamieszania. Szukać wytrwale, konsekwentnie i głęboko. Nie powtórzyć błędu Dembińskiego. Nie słuchać tych z lewa, ale i tych z prawa. Nie poddawać się panice, nie lecieć do obozu, który właśnie bankrutuje na Wschodzie, ale też nie zważać na tych, co twierdzą: nie szukajcie nowych dróg.

Mógłbym być złośliwy i przyłatać do niniejszego artykułu tę samą cytatę z Arystofanesa, którą mnie p. Bocheński uraczył. Nie robię tego z dwóch powodów. Po pierwsze p. Bocheński przyznaje się do naszego obozu, obozu młodych katolików, a to jest najważniejsze. Po drugie: p. Bocheński broni własności prywatnej, którą w zasadzie, choć nie we wszelakiem zastosowaniu, uznajemy. Mam wrażenie, że wiele pozornych sprzeczności płynie z nieporozumienia. Być może zetrzemy się jeszcze nie raz. Ale — da Bóg — będą to argumenty, nie zaś „silny głos, bezczelna wymowa i zdolność do targowania się na rynku". To zakładam. U stron obu.

Paweł Łebcz.

Miejsca bolące

Ujemny stosunek do obecnej „kultury" kapitalistycznej, wyrażony w artykule „Pax'u" p. t. „Manifest", doczekał się niezwykle ujemnej oceny w wileńskiem „Słowie". (Artykuły: „Studencie, ucz się, myśl", „Legjon Młodych dobrze, ale Odrodzenie też", szereg mniejszych artykułów, polemicznych wzmianek, odpowiedzi i t. d.). Zwłaszcza ostro zaatakowane zostało wyrażenie „odcisk", może niezbyt szczęśliwie wymyślone przez autora „Manifestu", ale nazbyt szczęśliwie i z dużym skutkiem polemicznym używane potem omal w każdej enuncjacji „Słowa". „Oni definjują kulturę jako odcisk" — to zabijało wszelką dalszą dyskusję i zamykało usta obrońcom „Manifestu".

Kapitalistyczny „odcisk" nie dał jednak długo czekać i dał znać o sobie dotkliwym bólem. Zdawałoby się — głupstwo, aresztowanie i śmierć jednego oszusta, śmierć prawdopodobnie samobójcza, to rzecz, która się może zdarzyć w każdem społeczeństwie. Ten małoznaczący wypadek odkrył jednak tyle ciekawych rzeczy i pokazał takie wyżyny, na jakie się może wznieść twórcza myśl w obecnym ustroju państwowym i społecznym, że najbardziej zrównoważeni entuzjaści liberalnego gospodarstwa społecznego doznali zawrotu głowy. Za tem jednak małoznaczącem wydarzeniem podążyły inne, bardziej ważkie: aresztowania osób wybitnych, deputowanych, ministrów; zaczął działać wymiar sprawiedliwości. Niemniej wymiar ten, jak dotychczas, jest skutecznie powstrzymywany przez innych, pozostających na wolności, a potężnych zwolenników niewtrącania się państwa do spraw tak prywatnych, jak napełnianie prywatnych kieszeni. Zaczęły ginąć akta, dowody rzeczowe (mała rzecz — osiemset czeków), wreszcie zamordowano sędziego, który w sprawie prowadził śledztwo. Dziwnym trafem jednocześnie nagle i niebezpiecznie zachorował w więzieniu bez przesłuchania jeden z głównych oskarżonych. Co do zamordowanego sędziego, rozeszły się pogłoski o jego podwójnem życiu i morderstwie na tle osobistych porachunków ze światem podziemnym. Pogłoski te były rozsiewane przez ludzi bardzo znanych i bardzo wybitnych, ale jeszcze nie przebywających w więzieniu. Przy obecnym stanie rzeczy zresztą brak pewności, czy do tego dojdzie. Państwo jest przecież liberalne i sądy państwowe z rozpoznaniem tych spraw się nie śpieszą. Sprawę Stawiskiego w ciągu dwóch lat odraczano dziewiętnaście razy. Oczywiście niema też pewności, czy nie zajdzie potrzeba bardziej energicznej obrony, jak to było w wypadku sędziego Prince i czy nie ujrzymy karabinów maszynowych w rękach francuskich bandytów.

Mogą nam oczywiście powiedzieć, że nie powinniśmy się tem przejmować. Francja daleko, a nasz własny, rodzimy kapitał polski objawów gangreny nie wykazuje. Jednak z Paryża do nas nie dalej, niż z Chicago do Paryża, a skok od Al Capone'a do Stawiskiego odbył się dość prędko.

Tu mały przykład: proces żyrardowski. Nie ten dawny, przeciwko Blachowskiemu, tylko ten nowy, o unieważnienie uchwały walnego zebrania akcjonarjuszy. Też odkrycie ciekawych i pouczających prawd. Grupa kapitalistów francuskich (już pachnie Stawiskim), posiadająca większość akcyj, i z tego tytułu zarządzająca przedsiębiorstwem, zawiera umowy z szeregiem towarzystw zagranicznych. Z mocy tych umów Żyrardów wypłaca tym towarzystwom 2% swego obrotu rocznie, co wynosi dla tych towarzystw tylko 25% (dwadzieścia pięć procent) kapitału, inwestowanego w Żyrardowie.

Tu znowu dziwaczny zbieg okoliczności: okazuje się, że francuscy akcjonarjusze Żyrardowa są przypadkiem właścicielami lub akcjonarjuszami tych samych towarzystw, z któremi Żyrardów zawarł tak korzystne umowy. — Ale katolik, jeśli chce być w zgodzie z prawem, ustrojem i prawdziwą kulturą, nie powinien tym rzeczom przeszkadzać. Powinien dbać o porządek, budować w skupieniu dalsze piąterka istniejącego stanu rzeczy i nic nie burzyć. Bo jeszcze jak zwykle — niezgrabny, nastąpi na odcisk.

C. J. F.

Na peryferjach społecznego dostatku

W tym samym czasie, gdy jesteśmy zafascynowani wspaniałemi wynikami polskiej polityki zagranicznej, jakby prawem kontrastu, stały się rzeczy w naszem wewnętrznem życiu państwowem, które przenikają głębokim niepokojem szerokie rzesze ludności, dotykając w sposób drastyczny jej zmysł moralny. Chodzi w tym wypadku o pewne ustawy, ostatnio wydane (względnie znowelizowane), które niezmiernie dotkliwie biją w interesy pracowników czy to w służbie państwowej czy prywatnej.

Ustawy, regulujące życie społeczne, mogą być traktowane z dwóch punktów widzenia: 1-o ich formalnej wartości, 2-o realnego znaczenia w życiu. Rzecz oczywista, że ten drugi punkt widzenia rozstrzyga o istotnem znaczeniu życiowem danego aktu ustawodawczego. W wywiadach, jakich udzielali miarodajni przedstawiciele, stale przebijało podkreślanie pewnych formalnych wartości wydanych ustaw, przy całkowitem pominięciu i przemilczeniu niewątpliwych szkód i strat, jakie się okażą dla świata pracy przy praktycznem zastosowaniu wydanych paragrafów. I tak np. w wywiadzie, udzielonym „Kurjerowi Porannemu" z 14. I. 34 p. min. Zawadzki najkategoryczniej się zastrzegł, że „Skarb Państwa n i e m i a ł n i g d y zamiaru skorzystać z tej reformy, aby pod jej płaszczykiem przeprowadzić o b n i ż k ę uposażeń". Chodziło o g l o b a l n ą sumę wydatków na uposażenie. A w praktyce przecież się okazało, że i słowa ministra są słuszne i obawa szerokich mas urzędniczych jest całkiem realna.

Podobnie p. min. Hubicki w jednym ze swoich wywiadów, broniąc nowel o czasie pracy i urlopach robotniczych, stale podkreślał, że nasze ustawy starają się dociągnąć do poziomu ustawodawstwa innych państw „współzawodniczących z Polską na terenie gospodarki". Niemniej jednak byt robotnika polskiego został wybitnie pogorszony.

Można tak albo inaczej budować wywody prawnicze, nie zmieni to jednak faktu, iż ogół świata pracowniczego został przez ostatnie ustawodawstwo pokrzywdzony. Wyraźnie: pokrzywdzony, bowiem pojęcie krzywdy mieści w sobie zarówno upośledzenie jak niesprawiedliwość. I o to przedewszystkiem chodzi. Stając na stanowisku li tylko moralnem, można przyjąć każde pogorszenie warunków życia, o ile ono jest uzasadnione jakąś rzeczywistą potrzebą. Złoto, rzucane w swoim czasie przez obywateli na rzecz Skarbu Narodowego było wzruszającym dowodem dobrowolnej rezygnacji ze stopy życiowej. Subskrypcja akcyj Banku Polskiego, jakkolwiek odbywała się w czasach, kiedy warunki życia urzędniczego bodajże były gorsze od dzisiejszych, jednak w imię dobra ogólnego i równego dla wszystkich obowiązku obywatelskiego została doskonałym dowodem, jak daleko ofiarność społeczna może zajść. Wreszcie ostatnia Pożyczka Narodowa, która przyszła w czasach najcięższych, dała wyniki niemniej imponujące. I chociaż niejeden podpisywał ją pod presją opinji lub pod przymusem zorganizowanej świadomości społecznej, to jednak nikt nie miał odwagi wyraźnie się temu przeciwstawić, bowiem nie można było w sobie wynaleźć ani odrobiny uczucia krzywdy czy upośledzenia. „Od każdego według jego możliwości..."

Lecz po tym potężnym fakcie ofiarności przyszedł dramat krzywdzącego ustawodawstwa. Nowa ustawa uposażeniowa rozcięła wszystkich pracowników państwowych na dwie klasy: jedni stracili, drudzy zyskali. Fakt pozostaje faktem i jego siły wymownej nie zmieni żadna najsubtelniejsza argumentacja. Rzeczą najistotniejszą w tym fakcie jest krzywda. W dzisiejszych warunkach niczem absolutnie nie da się uzasadnić uprzywilejowanie jednych kosztem drugich. A to niestety się stało. Zakrawa to nawet na pewien cynizm, bowiem w dzisiejszej atmosferze głębokiej fermentacji społecznej tego rodzaju akty bynajmniej nie przyczyniają się do łagodzenia tarć. Bajka o Lewjatanie kapitalizmu w Polsce staje się rzeczywistością. Bowiem, gdy jednocześnie zjawia się nowela o czasie pracy, która stawia w fatalne warunki polskiego robotnika, gdy podpiera ją skutecznie nowela o urlopach robotniczych, które w pewnych okolicznościach mogą być sprowadzone wprost do fikcji lub odmiany bezrobocia, kiedy ubezpieczenia na wypadek choroby, a specjalnie macierzyństwa, dzisiaj nie mają dla robotnika, poza stratami, żadnej realnej wartości — to trudno jest oprzeć się przekonaniu, że wielki kapitał ma z tego wszystkiego czysty zysk, że ideą kierowniczą całego nowego ustawodawstwa jest danie maksymalnej koncesji na rzecz kapitału kosztem robotnika. Chcielibyśmy, żeby ktoś udowodnił, że tak nie jest: byłby przynajmniej cień jakiejś wątpliwości, bo nawet najgłębsza finezja papierowych argumentów nie potrafi wmówić głodnemu, że jest syty, choremu, że jest zdrowy, gołemu, że jest ubrany według ostatniej mody.

Możnaby snuć długie szeregi cyfr dla poparcia powyższych gorzkich słów, stokroć jednak wymowniejsza jest najprostsza, elementarna, prymitywna arytmetyka ciemnego robotnika albo spauperyzowanego urzędnika. Gdy się zarabia 10 zł. tygodniowo przy 5—6 osobowej rodzinie, to obrachunek na palcach łatwo wykaże, jaką część „dziennej racji" odżywiających się według tabeli N/x stanowi opłata 20 gr. za poradę lekarską. Jużby w b. Kasach Chorych teraz było przestronnie. A przecież statystyka podaje, że przeciętny zarobek tygodniowy robotnika (mężczyzny) wynosi w przemyśle 26 zł. 68 gr.

A więc możni tego świata formują życie według swojego uznania. Czy można się potem dziwić, że pokrzywdzeni i poniżeni od nich się obwracają i szukają innych bogów? Zaiste, wymowny jest obiegający dowcip, że do największych zdobyczy zagranicznej polityki Sowietów trzeba też zaliczyć ostatnie polskie ustawy.

L. Korowajczyk.

O uczciwy stosunek do kleru

Czasy dzisiejsze, zwłaszcza w zakresie zagadnień religijnych, są przełomowe. Sądzi tak wielu ludzi. Przykład: „Są okresy w życiu ludów, kiedy przedewszystkiem należy ogłosić wojnę duchową. My żyjemy w takim okresie... Głęboka duchowa reakcja wobec tak rozpanoszonego zewnętrznego, politycznego stosunku do życia jest nieodzowna" (Bierdiajew. Sofija I). Katolicyzm z urzędu poprostu podjął tę wojnę i ją prowadzi. Na głos naszych przywódców stanęliśmy w szeregu, znajdujemy się w pierwszej linji okopów. Tymczasem nie wszyscy ci, którzy są obowiązani do obrony, spełniają to zadanie. Mamy tu na myśli przedewszystkiem tę część kleru, która nie jest na poziomie należytym, a popełnia rozliczne nadużycia.

Wytworzyły się już nawet pewne typy tych bolesnych wykroczeń. A więc:

plątanie spraw politycznych ze sprawami Kościoła, co spowodowało, że przed laty 50 katolicyzm był synonimem konserwatyzmu, a przed laty 10 był równoznaczny z ciasno pojętym nacjonalizmem;

posługiwanie się argumentami religijnemi (por. powieść Kruczkowskiego „Kordjan i Cham") dla obrony rzeczy tak obmierzłej, jak wyzysk i kapitalizm, co spowodowało, że przez długi czas identyfikowano z zasadami Chrystusowemi ten osobliwy ustrój społeczny, na który mogła zdobyć się tylko psychika materjalistyczna; w rezultacie tego do dziś dnia r. 1848 jest dla nas datą manifestu Marxa, a przecież nie wszyscy wiemy, że jest to rok chrześcijańskiego manifestu społecznego Kettelera;

innem wykroczeniem była (i niestety często jeszcze jest) prywata, chęć osobistego zysku, oparta na jakichś niezwykle fantastycznych pobudkach, co spowodowało, że najwierniejsze jednostki i ludzie najbardziej z katolicyzmem sympatyzujący, mieli dużo nieufności do tych, którzy są namiestnikami uczniów Chrystusa. Przykład: St. Brzozowski we „Współczesnej powieści polskiej"; nierozerwalnie z powyższemi czynnikami wiąże się zaniedbywanie służby Bożej. Por. „Ideał kapłana", wyd. X. Pleszczyński. Niektóre jednostki stały się tak dalece bezkompromisowe, że odmawiają swego udziału w pogrzebach biednych, tak iż niekiedy spotyka się kondukty zmarłych chrześcijan bez księży, co żywo nasuwa reminiscencje z identycznych stosunków w Rosji Sowieckiej; pobieranie opłat za niektóre czynności religijne stało się u nas tak częste, że wytworzyło się nawet potworne w treści i formie wyrażenie: „zakupić Mszę";

do tego dodać należy występki natury seksualnej i t.d.

Jeszcze raz podkreślamy, że są to wykroczenia jednostek, bolesne wykroczenia, a nie jakaś specjalna cecha kleru. Są to rzeczy oczywiście niedopuszczalne. Nietylko dlatego, że żyjemy w takich warunkach, w których każdy taki uczynek przynosi niepowetowane szkody. Ale przedewszystkiem dlatego, że są to rzeczy objektywnie złe i w czasach choćby najlepszej konjunktury katolicyzmu musiałyby być zwalczane. Rozumiemy dobrze, że władze Kościelne to piętnują, bo jeśli użyć słów Foerstera, żyjemy dziś w czasie, kiedy Kościół na stanowiskach kierowniczych posiada niezwykłą ilość osób poprostu świętych. Jednak ich czujne oko nie wszędzie dociera, chociaż dużo poświęca uwagi rzeczom błahym. Nie dla jakiejś perfidnej złośliwości ani też dla zaspokojenia niskich instynktów będziemy o tem mówić. Bolą te rzeczy każdego katolika, chcącego uczciwie myśleć i postępować. Popełnianie opisanych powyżej wykroczeń jest to ostrzeliwanie swojej własnej armji przez swoją artylerję, jest to dywersja, która wytrąca nam poprostu broń z ręki. I dlatego postanawiamy z tem walczyć z równym uporem, jak walczyć będziemy z podobnemi wykroczeniami osób świeckich, jak i z jawnymi wrogami Kościoła. Oczywiście ci inteligentni ludzie, którzy zawsze potrafią wyczytać we wszystkiem to, co im się podoba, nazwą to antyklerykalizmem. Jeżeli ten wyraz ma według nich takie znaczenie, jak opisane powyżej, to jesteśmy antyklerykalni. Rozdzielamy wyraźnie: posłannictwo duchowe kleru od osobistych interesów pojedyńczych jego członków. Że w jednym i w drugim wypadku chodzi tak samo o księży, to jasne. Ale to tylko pogarsza sytuację. W 10-tym numerze „Paxu", kiedy omawialiśmy pewną profanację, zaznaczyliśmy wyraźnie, że rozumiemy „różnicę pomiędzy księdzem przy ołtarzu a księdzem administratorem". Pierwszy będzie dla nas zawsze godzien szacunku, jako pośrednik Boski, drugi będzie podlegał krytyce tem boleśniejszej, że chodzi o człowieka odznaczonego niezniszczalnem piętnem sakramentu. Szczery, katolicki stosunek do prawdy nie pozwala nam milczeć. Zrywamy z oportunizmem, który jakkolwiek przyjmuje do wiadomości fakty, ale woli je ukrywać przez wzgląd na rzekomą szkodliwość ich wyjawienia wobec opinji. Szkodliwe jest tylko popełnianie tych rzeczy, nigdy zaś opis prawdy. Prawda zawsze zwycięża i to na rzecz dobra.

To jest jasne. To są fakty, na które wszyscy się zgodzili. Wszak każdy, kto się uczył w szkole religji, wie dobrze, że w Kościele stale da się obserwować występowanie obok pierwiastka Boskiego wpływów człowieka, istoty skażonej przez grzech pierworodny. Będziemy mówić o faktach tego drugiego rodzaju; a to w niczem nie ubliży Boskości Kościoła, bo jasne jest, że znieważa ją właśnie ludzkie nadużycie. Tak zawsze sądził Kościół, pouczony przez Chrystusa: „Wy (mowa o uczniach) jesteście solą ziemi. A jeśli sól zwietrzeje, czem solona będzie? Na nic się więcej nie przyda, jedno aby była precz wyrzucona i podeptana od ludzi" (Mat. V. 13).

Sytuacja zmienia się ciągle na lepsze. Dzisiejszy kler polski en masse stoi na poziomie bez porównania wyższym niż tenże z przed lat 20, 30 i dalej wstecz. (Były i wtedy jednostki świetlane i godne podziwu). Dziś coraz więcej mamy „bosych" księży, którzy, zarówno jak i ich sprzymierzeńcy, do których i my się chcemy zaliczać, gotowi są pójść dla zbawienia jednej duszy choćby na kraniec świata; pożera ich troska o los bliźniego w imię tych haseł, które od dwóch tysiącleci poruszają miljony serc.

W. Rudziński

Uspołecznienie

Przykro nas zwykle dotyka twierdzenie, iż kler katolicki jest zmaterjalizowany i bezideowy. Czasami też, zamiast obrony, musimy zachować milczenie, bowiem są fakty do obrony się nie nadające. Wszyscy doceniają dzisiaj wagę takiej instytucji, jak LOPP. Ostatnio też J. E. X. Arcybiskup Wileński wydał odezwę do duchowieństwa o popieranie tej instytucji. I jakiż był skutek? Zdarzyło się, że do wszystkich proboszczów LOPP. rozesłał groszowe mareczki z prośbą, aby przy okazjach wydawania zaświadczeń i t. p. starać się owe mareczki naklejać. Rzecz zarówno nietrudna, jak i nie wiążąca. A jednak. Dużo kopert wróciło demonstracyjnie nierozpieczętowanych. „Adresat odmówił przyjęcia". Wróciły tak koperty z Oran, Oszmiany, Brasławia, Mołodeczna, Święcian ... i t. d. oraz nawet ... z Wilna od kościoła św. Teresy. Czy taki stosunek do LOPP. świadczy o uspołecznieniu. Szczególnie kontrastuje to z faktem, iż wszystkie parafje prawosławne bez wyjątku wykonały wszelkie przyjęte zobowiązania i najlojalniej zadośćuczyniły nieskomplikowanej prośbie L. O. P. P.

L. K.

*

* *

Epoki się mrużyły w blasku bonapartych,
kładąc się drogą, kroków milczeniem utartą,
drogą, krwi, wystrzałami szorstką; aż jutrzejsze
dnie sykiem pracy, jak szerokie kleszcze
czekają na stal dziejów, wykutą w bagnety
żołnierzy, którzy walczą o wieczne „niestety“.
Poetom zagrożono milczeniem potomnych:
prawdą jest wschód i zachód. Co wieczór ogromny
na placach się rozpala ogień bezrobotnych,
zsiniałych w przeddniu pracy. Spada bez powrotu
wściekłość minut, rąbanych pulsem i nerwami.

Kamienic sześcian krzyczy wymową piramid:
gdzie odeszliście grecy przeszłości, czy dzisiaj
gibkich kolumn nie zrąbie czas? czy nie myślał
człowiek budzony zrana fabryczną syreną,
że nad wielkością huczy oklasków ocean,
że w gęstwie feljetonów, rakiet strzelających
znikł miljonowoltowy akumulator słońca?
Opadły ręce wielu. Szydem zimnych reklam
walczysz wieku topieli, tyglu snu i piekła
młodych, opętywanych chucią i poezją
napisaną, lub której ludzkość nie zna.

KONSTANTY SZYCHOWSKI

Z Ameryki

Z 8.000.000 Polaków za granicami Polski Stany Zjednoczone liczą najwięcej, bo aż 4.000.000.

Zaczynając od Jana z Kolna, Polacy od najdawniejszych czasów szukali szczęścia w Ameryce. W XVI wieku Zborowscy, Łascy i inna szlachta, której nawet w „złotej Polsce“ było ciasno. Przybywali tu i bakałarze polscy, którzy uczyli holenderskie dzieci. Trudno jednak doszukać się śladów pierwszych polskich wychodźców, których bezwątpienia musiała być spora liczba. Dopiero w wojnie rewolucyjnej ślady te stają się wybitne i dziś każde dziecko zna nazwiska Kościuszki i Pułaskiego i każdy Amerykanin chyli czoła przed ich zasługą z r. 1776 i 1777. Oprócz tych dwóch wybitnych wodzów byli jeszcze: Maurycy Beniowski, król Madagaskaru, kapitan Zieliński, pułkownik Kowacz, Rogowski Maciej i major-lekarz Jan Polereski; był i Juljan Ursyn Niemcewicz — żołnierz-poeta. Kilkuset Polaków przybyło tu po powstaniu listopadowem — tu też zamierzano skierować wszystkich rozbitków powstania, ale ci szybko się wynarodowili, a dzieci ich i wnukowie są już w całem tego słowa znaczeniu Amerykanami, nie mówiącymi i nie czującymi po polsku. Nie mają też nic wspólnego z amerykańską Polonją i tylko nazwiska polskie, o ile się i ich nie wyparli, świadczą, że są to potomkowie Polaków przybyłych ongiś do Stanów Zjednoczonych. Późniejsza jeszcze emigracja polska zaczęła przybywać do St. Zjedn. po smutnych wypadkach w roku 1846, a zwłaszcza po upadku powstania węgierskiego w roku 1849. Jednakże i po tej drugiej politycznej emigracji polskiej nie wiele pozostało śladów. Niewiele lepiej poszło z trzecią polityczną emigracją polską, przybyłą do Stanów po powstaniu w r. 1863. Ta wprawdzie w szczątkach dotrwała do naszych prawie czasów, a nawet przyczyniła się znacznie do z a s z c z e p i e n i a w późniejszej żywiołowej emigracji polskiej po 1870 r. politycznej myśli polskiej na gruncie amerykańskim. Ale Polonję polską, czwartą dzielnicę Polski, stworzył polski nieoświecony lud, który przybył do Stanów Zj. dla poprawienia materjalnego bytu, dla chleba. I ten lud polski nie wyparł się swej narodowości, nie wyparł się wiary swej — owszem w obydwu dziedzinach wzniósł sztandar Polski wysoko i wiele, wiele uznania zyskał dla Polski.

Do nich przybyło najwpierw duchowieństwo polskie, zakonne i świeckie, a w ślad za nimi i siostry zakonne, powstawały więc kościoły, organizacje polskie, a potem szkoły polskie, tak wspaniałe, że są chlubą dla Polski. Po szkołach parafjalnych te same parafje zakładały nawet kolegja katolickie średnie, a niekiedy stojące na poziomie uniwersytetów amerykańskich. Największe zasługi w elementarnem i średniem wykształceniu Polonji amerykańskiej położyły zakonnice różnych zakonów żeńskich, przybyłych z Polski niejednokrotnie po kasacie zakonu. Wiele sióstr dokazało cudów wytrwałości w ciężkich warunkach rozpoczynania pracy.

Te kilka wierszy z historji emigracji polskiej w Ameryce pomoże zrozumieć dlaczego oświata w Polonji poszła temi, a nie innemi drogami, ile trzeba było trudów położyć, żeby oświatę podnieść, a jednocześnie serc młodych, wychowywanych na obczyźnie, nie stracić. Ten lud siermiężny organizował się nieustannie, zawsze przy kościele, i stworzył potężne organizacje, które dziś mogą służyć przykładem jedności innym. Dzięki tej pracy w organizacjach, Polonja amerykańska posiada dziś setki swoich wspaniałych szkół średnich, a i w obcych nie zapominają, że są Polakami. Z tych szkół średnich wychodzą dziesiątki tysięcy Polaków ze średniem wykształceniem. Przeważna jednak część tej młodzieży kończy na tem i idzie do pracy. Znikoma tylko ilość idzie dalej. Jaka była liczba studentów polskiego pochodzenia w wyższych uczelniach amerykańskich, nikt nie mógł i do dziś nie może dokładnie określić. Prasa polsko-amerykańska albo rozpaczała, że studentów tych jest mało, albo się entuzjazmowała, że nowe pokolenie amerykańskie polskiego pochodzenia podbije Amerykę, nikt jednak nie posiadał konkretnych danych.

Fundacja Kościuszkowska, istniejąca od września 1924 roku, postanowiła tę kwestję zbadać. Oto główne punkty kwestjonarjusza:

1) Ilu jest Polaków w amerykańskich uniwersytetach i uczelniach zawodowych amerykańskich; 2) gdzie i co studjują; 3) czy byli oni urodzeni w Polsce, czy w Ameryce; 4) czy i w jakim stopniu studenci ci utrzymują się sami; 5) ile jest dzieci w rodzinie danego studenta; 6) czy dany student jest pierwszym w rodzinie na uniwersytecie, czy go inni z rodzeństwa poprzedzili; 7) w jakich szkołach otrzymali średnie wykształcenie.

Nie jest to problem łatwy w warunkach amerykańskich. Brak jest centralizacji w wyższem szkolnictwie, a liczba instytucyj b. wielka, bo około 1.000 różnych uniwersytetów, kolegjów i szkół zawodowych na poziomie rzekomo wyższym; władze szkolne nie mają, albo nie chcą dać żądanych informacyj. Polscy studenci w wielu wypadkach „zamerykanizowali“ swe nazwiska, natomiast wiele nazwisk niepolskich brzmi po polsku i t. d.

Dlatego do dziś jeszcze trwa praca podjęta. W roku 1930 dane statystyczne wykazały 576 studentów Polaków w 86 instytucjach. W 1933 r. w Chicago na 5 zjeździe

studentów polskich w Ameryce było 50 delegatów z 19 klubów uniwersyteckich, które liczą razem już 550 członków, zrzeszonych w Stowarzyszeniu Akademików Polskich w Ameryce.

Do danych statystycznych nie wliczono studentów trzech kolegjów polskich, a mianowicie: Kolegjum Związkowego w Cambridge (Amer. Pn.), Kolegjum św. Jana Kantego i Orchard Lake, w których jest łącznie około 225 studentów; większość ich przygotowuje się do stanu kapłańskiego.

W uczelniach ściśle amerykańskich polscy studenci przygotowują się do następujących zawodów: medycyna studentów 115, studentek 6; pedagogika st-ów 46, st-ek 39; prawo 70, 6; inżynierja 72; dentystyka 41, 5; farmaceutyka 24, 3; administracja handlowa 23, 4; chemja 10, 3; architektura 11; rachunkowość 8, 1; filozofja 7, 1; inne 81. Razem 576.

Następujące dane mogą okazać się najbardziej ciekawe z punktu widzenia socjologicznego.

Z ogólnej liczby 576 studentów, 423 czyli 73% są pierwszymi z rodziny na uniwersytecie, 76 drugimi, 32 trzecimi, 8 czwartymi, 4 piątymi, 1 szóstym, 1 siódmym, 1 ósmym i 1 dziewiątym. Z pośród 555 studentów (21 nie odpowiedziało na to pytanie) 488 czyli 88% urodziło się w Ameryce, a 67 czyli 12% w Polsce. Ogromna większość rodziców to zwykli robotnicy; większość studentów utrzymuje się całkowicie lub częściowo własnemi siłami. 36 otrzymuje stypendjum od uniwersytetu lub z innych źródeł.

Powyższe cyfry wskazują, że wychodźca polski, aczkolwiek sam z kraju nic nie wywiózł, a w Ameryce musi ciężko pracować, dla dzieci swych pragnie wyższego wykształcenia i ocenia wartość nauki.

Z powyższego niestety wyzierają i ciemne strony naszego stanu posiadania. Aczkolwiek młodzież polska spisuje się dzielnie, to jednak proporcjonalnie jest jej b. mało, a liczbowo mniej, niż najbardziej wzgardzonej rasy czarnej, która na 12 miljonów murzynów miała już w 1931 roku 100.000 studentów (Roczniki katolickie za rok 1933, str. 52). Mimo, że niedawno murzyni ruszyli ławą na podbój szkół, już tysiącznemi rzeszami mogą się pochwalić ich koła wykształcone. Już w 1930 roku liczyli 18.000 maturzystów, 58.000 nauczycieli po szkołach i gimnazjach, 4.000 lekarzy, 2.000 dentystów, 6.250 muzyków i nauczycieli muzyki, 1.150 adwokatów i sędziów, 375 literatów i dziennikarzy i 20.000 duchownych. Mają już 80 własnych uniwersytetów i gimnazjów, nie licząc tych instytucyj, do których się ich już wraz z białymi wpuszcza.

Jak na 12.000.000 wszystkich murzynów są to liczby wprost imponujące — do tego stanu Polacy mają jeszcze daleką drogę.

W Stanach Zjednoczonych o ludności 125.000.000 studjuje w wyższych uczelniach prawie miljon młodzieży, t. j. na 125 mieszkańców wypada 1 student. Wychodźtwo polskie, liczące 4.000.000 osób, w uniwersytetach ma od 1.000 do 2.000 studentów obojga płci, t. j. 1 studenta na 2.000 Polaków, a powinno mieć stosunkowo 32.000 studentów. Kilkanaście lat temu było oczywiście o wiele gorzej. Kroczymy zatem już dobrze i można się spodziewać lepszych skutków. Studenci, jak mówiłem wyżej, nie są jeszcze całkowicie zorganizowani. Pierwsze kroki ku zjednoczeniu wszystkich studentów Polaków zrobiono w 1928 r., kiedy zawiązał się Związek Polskich Studentów (Polish Students Association) [1]), do którego weszły wszystkie kluby polskie różnych uniwersytetów. W 1933 roku na 5-ym zjeździe studentów polskich zmieniono nazwę na „Stowarzyszenie Akademików Polskich w Ameryce". Przy niem istnieje Centrala Klubów Uniwersyteckich.

W 1933 roku w Chicago powstała nowa potężna organizacja: „Uniwersyteckie Koło Przyjaciół Polski", do którego weszli w pierwszym rzędzie profesorowie poszczególnych uniwersytetów i wyższych zakładów naukowych polskiego pochodzenia. Celem tej placówki jest nawiązanie stosunków kulturalnych pomiędzy Polską a Ameryką. Prezesem został dr. Edward Komorowski, profesor biologji na uniwersytecie Marquette. Od czerwca 1929 r. Związek Polskich Studentów wydaje pismo polsko-angielskie „The Polish Student", w którem można znaleźć wiele wiadomości z życia polskich studentów w Ameryce.

Staraniem Fundacji Kościuszkowskiej i organizacyj polskich studentów już wiele uzyskano — wprowadzono w wielu szkołach język polski, istnieją kursa języka polskiego, w 12 uniwersytetach 3 katedry literatury polskiej, a o inne robione są starania.

X. F. T.

[1]) 424 Home Bank Building, 1.200 M. Ashland Ave, Chicago Ill.

Przegląd prasy

Ruch społeczny młodych katolików

LA VIE INTELLECTUELLE, 10 maj 1933 r. *Dziennik Katolicki?* Opierając się na przykładach prasy francuskiej katolickiej, autor dowodzi konieczności zreformowania prasy katolickiej. Brak jej zarówno prawdziwie chrześcijańskiego nastawienia, jak i odpowiedniego poziomu intelektualnego. Zamało miejsca dla wielkich uczonych i myślicieli katolickich, zadużo ustępstw na rzecz gustu czytelników, egoizmu klasy, zacietrzewienia partyjnego i nacjonalistycznego. Potrzeba prawdziwej katolickiej prasy jest jak najbardziej paląca.

Kongres Stow. Katol. Mł. Franc. (A. C. J. F.). W Lyonie odbył się kongres A. C. J. F., poświęcony sprawie pokoju międzynarodowego, opartego na pokoju Chrystusowym. Między młodzieżą katolicką Francji, a młodzieżą nacjonalistyczną hitlerowskich Niemiec trwa walka idei.

LA VIE INTTELECTUELLE w numerze z dnia 25 czerwca 1933 roku, oprócz szeregu tematów o charakterze ściśle religijnym i teologicznym, porusza dwie kwestje społeczne, bardzo aktualne.

Marc Scherer, *Młodzież katolicka a zagadnienie pokoju*. Praca dla pokoju powszechnego jest realizacją królestwa Bożego na ziemi. Każda działalność dla pokoju powinna nam być bliska, ale nie tracimy dążności do tego pokoju, który określamy my katolicy jako stan łaski cywilizacji, jako stan rzeczy, przyjęty przez wszystkich ludzi dobrej woli, zgodność świata z wolą Boga. Przeszkodą akcji pacyfistycznej jest aspołeczna postawa indywidualizmu, stosunki międzynarodowe. Katolicyzm prowadzi nas do koncepcji pozytywnej stosunków międzynarodowych, opartych o wspólne dobro państw i narodów — i na instytucjach międzynarodowych, strzegących tego stanu rzeczy.

Katolicyzm musi dążyć do patrjotyzmu oświeconego. Musi też odmiennie patrzeć na działalność Ligi Narodów i innych instytucyj tego rodzaju, podkreślać te rezultaty, jakie powyższe instytucje zdołały mimo wszystko osiągnąć, starać się o zaufanie dla nich, gdyż są one bądź co bądź aktem dobrej woli.

Żaden wysiłek nie powinien nas odstraszać. Trzeba walczyć lecz i współpracować. Ze wszystkimi ludźmi dobrej woli, którzy chcą pokoju musimy się porozumieć. Bo wszystkie idee sprawiedliwe są chrześcijańskie, są nasze, nie możemy czekać, aż ludzie staną się święci, by wówczas dopiero zacząć działalność. Nie pomijać żadnej okazji. Siłę potrzebną do przeprowadzenia naszej akcji znajdziemy w tych środkach, których używamy dla osiągnięcia pokoju naszej duszy: czujność i ostrożność sumienia, wyrzeczenie się interesów osobistych (tu narodowych dla nacjonalizmu) modlitwa i wyjaśnianie problemów, jakie się nam będą nasuwały przy pomocy tego światła. Pokój jest nagrodą za dobrą wolę ludzi. Trzeba zasłużyć na pokój. To jest rola nas chrześcijan — na nas spoczywa odpowiedzialność, bo my mamy prawdę.

André Colin twierdzi: międzynarodowość produkcji i kapitału wydaje się być rozwiązaniem problemu wojny i pokoju. Wojna jest sprawą handlową, jeżeli interesy handlowo-przemysłowe będą umiędzynarodowione — konieczność wojny niknie.

Nie zgadzamy się na to stanowisko. Nie można opierać pokoju

na interesie i pomyślnem rozwiązaniu spraw materjalnych. Rola stwarzania międzynarodowych organizacyj handlowych i przemysłowych byłaby bardzo duża, gdyby nie miała na względzie jedynie korzyści materjalnych. Odrzucamy też koncepcję zniknięcia narodów i stworzenia jednej ludzkości. Fałszywy, nierealny sentymentalizm.

Do pokoju powszechnego dążą też wszystkie międzynarodówki, niezależnie od ich numeru. Chcą oprzeć pokój na międzynarodowości świata pracy. Przedtem jednak walka klas — czyż możemy to uznać za akcję pacyfistyczną. Socjalizm przedstawia siebie jako jedyną ostoję pokoju — odrzucić musimy tę możliwość, bo prąd głęboko materjalistyczny, negujący duchowość człowieka, dążący do zapewnienia największej korzyści jedynie udoskonalonemu zwierzęciu ludzkiemu, opierający pokój na równości podziału dóbr materjalnych, ten prąd nie jest ludzki, odbiega od natury człowieka.

Ruch pacyfistyczny w świecie pracy zrobi b. wiele, ale jeżeli się oprze rzeczywiście na miłości braterskiej i poświęceniu. Tym wielkim usiłowaniom rozwiązania zagadnienia pokoju brakuje świadomości prawdy. My ją posiadamy — naszą rolą jest spełniać posłannictwo Chrystusowe na ziemi, umożliwić miłość wzajemną wszystkich ludzi. Mamy rozkaz miłości wzajemnej dany zgóry. W tych warunkach pokój jest to normalny stan w jakim powinna żyć społeczność chrześcijańska. Dlatego nam nie wolno się uchylać od wszelkiej współpracy dla pokoju, nie wolno pozostawiać działalności pacyfistycznej w ręku innych czynników.

Raymond de Becker. *Chrześcijaństwo i rewolucja.* Młodzież katolicka Belgji stwierdza, że społeczeństwo nie jest przygotowane do rewolucji duchowej. Najpierw należy dążyć do osobistej przemiany duchowej każdej jednostki. Potrzeba ludzi apostołów, ludzi czynu, którzyby opanowali wszelkie dziedziny życia społecznego. Hasło rewolucji duchowej nie ma tej siły, zdolnej przyciągać masy, jaką np. ma faszyzm czy komunizm. To, co obiecuje rewolucja duchowa i w imię czego żąda ona ofiar, nie jest zrozumiałe dla mas, w których trzeba wpierw obudzić życie wewnętrzne, religijne.

Chrześcijaństwo nie może się zgadzać na twierdzenie, że aby dokonać dzieła przebudowy społecznej drogą rewolucji, trzeba się odwoływać do najniższych instynktów mas. Pozostaje pytanie, czy rewolucja duchowa, czy rewolucja jaką będą przeprowadzać młodzi chrześcijanie, może być przeprowadzona drogą siły i gwałtu? Odpowiadamy — nie mogą. Nie powinni dla walki ze światem używać jego broni, gdy walczą dla Ducha. Za przykładem pierwszych chrześcijan odrzucić powinni możliwości walki orężnej. To zaprzeczenie możliwości użycia siły nie jest zgodą na bezczynność i przystosowywanie się do stanu obecnego. Należy dokonać wielkiego pogłębienia życia religijnego, oczyścić katolicyzm (katolików) z naleciałości niechrześcijańskich. Należy być ponad światem, by z nim walczyć. Powstaje konieczność ascezy życia. Dopiero wówczas, gdy w społeczeństwie katolickiem będzie dostateczna ilość świętych, którzy zmienią i odrodzą sumienie i świadomość mas, można będzie mówić o rewolucji ducha.

Środki oporu biernego są nam bliższe, niż wystąpienie czynne poparte siłą. Przykład Gandhiego niech będzie wzorem rewolucjonistów chrześcijańskich. Jeszcze nie doszła nigdy do głosu społeczna wartość chrystjanizmu, katolicy zbyt się opierali na środkach ziemskich.

Ale oto przyszedł czas Ducha św.

System ekonomiczny, który każe niszczyć tyle dóbr w obliczu bezrobocia i głodu jest skazany na zagładę w oczach młodzieży. Nie wierzy też młodzież w zalety wolnej konkurencji, której dziś zresztą niema naprawdę.

Co najgorsze, że żyjemy bez jutra: Młodzież bez pracy to jest samobójstwo naszego społeczeństwa. Zwątpienie w znaczenie duchowe i materjalne Europy, zwrot do Ameryki. Amerykanizacja życia. Realizm amerykański, trzeźwość — sprowadziło to chęć użycia i wykorzystania każdej chwili w tym celu.

Młoda Europa widzi, że to wszystko prowadzi ją do samobójstwa pod każdym względem. Nie można żyć w niepewności. Nadszedł czas przewartościowania pojęć. Głosi się zachód i koniec Europy zachodniej. Młodzież rodzi się więc w atmosferze zwątpienia, sceptycyzmu. Musi sama w sobie znaleźć siłę, by się temu oprzeć, by działać. Postawa młodej Europy ma już kilka cech wyraźnych:

1. Stwierdzenie upadku liberalizmu, demokracji, parlamentaryzmu.
2. Odwrót od wszelkiego uzgadniania.
3. Chęć do budowy i konstrukcji nowego ustroju.

ESPRIT Nr. 6. 1 marca 1933. Numer specjalny zamieszcza m. i. następujące artykuły:

E. Boruf. *O cnocie niepewności.* Powołaniem prawdziwej moralności jest nie zabezpieczać, ale niepokoić. Zadaniem cnoty niepewności jest uchronić nasze cnoty od stania się cnotami burżuazyjnemi. Jedną z cech cnót burżuazyjnych jest oddzielenie życia publicznego od prywatnego. Miłosierdzie, bezinteresowność i t. d. są cnotami na użytek wyłącznie prywatny. Katolicy powinni ocenić niebezpieczeństwo tego rozdziału. Nie wolno się zamykać w ciasnych ramach swego ogniska domowego, zdążając za wszelką cenę do spokojnej wegetacji. Cnota niepewności uczy nas otwierania duszy na wezwanie świata, jest najlepszem przygotowaniem do Nadziei chrześcijańskiej.

F. D. Viendelle. *Dobrzy pracodawcy.* Katolicy nie mogą uważać „ojcowskiego" stosunku pracodawców do robotników za wystarczające rozwiązanie. Miłosierdzia nie może zastąpić sprawiedliwość.

A. Savoy. *Chrystjanizm przeciw bankierom.* Pieniądz rządzi. Wynikiem tych rządów jest bezrobocie, głód, zawiść, nienawiść i śmierć. Zwiastunami tego stanu rzeczy było wprowadzenie do ekonomji koncepcji pogańskiej własności i legalności oprocentowania kapitału. Trzeba przeciwstawić instytucjom zrodzonym z błędów kapitalizmu instytucje chrześcijaństwa.

dg.

Sprawy wychowawcze

KULTURA I WYCHOWANIE. Pod redakcją Bohdana Suchodolskiego ukazał się w październiku 1933 r. I-szy numer nowego perjodyku p. t. „Kultura i wychowanie" (nakładem Zarządu Głównego Towarzystwa Nauczycieli Szkół Średnich i Wyższych. Str. 105. Cena 2.50 zł. Warszawa 1933). — Program wydawnictwa: „osiągnąć i utrzymać stan napięcia życia osobowego, dźwignąć żywotność ducha i świadomość kulturalną — w szczególności u nauczycielstwa, ze względu na znaczenie dla wychowania budowy własnej osobowości u wychowawcy—znaczenia tego dowodzi Suchodolski w nieco koturnowym artykule wstępnym — „*O Wychowaniu*". Tak sformułowane zadanie redakcja chce osiągnąć przez „ujawnienie cech i dążności kultury współczesnej", przez „ukazanie dróg twórczej ekspansji ludzkiej", przez analizę elementów kultury. Numer I ma spełnić to zadanie przez traktowanie następujących kwestyj: 1) zagadnienia światopoglądu, 2) zagadnienia historycznych podstaw współczesności, 3) zagadnienia kultury współczesnej, 4) zagadnienia organizacji kultury i oświaty. — Jak widać z powyższego podejście redakcji do postawionego zadania jest czysto intelektualistyczne. Nie będziemy z tem podejściem w tej chwili polemizować. W każdym razie nie wydaje się nam samo przez się zrozumiałem, jakoby najpewniejszą i jedyną drogą do „odrodzenia życia duchowego" było roztrząsanie zagadnień kulturologji czystej lub stosowanej.

Koncepcja „dialektyki światopoglądowej" prof. Hessena (*„Istota i znaczenie poglądu na świat"*) efektownie rozwiązuje zawiłą problematykę kwestyj takich jak: — co to jest kultura? kultura a światopogląd, światopogląd a naukowość, nauka a ideologja, uniwersalizm światopoglądu, objektywna prawda a światopogląd i t. p.

Wnioski, wyciągnięte z bogatego materjału doświadczalnego, zebranego przez prof. S. Szumana i innych w wyniku badań nad światopoglądem młodzieży, materjału ogłoszonego przed paru miesiącami w pracy zbiotowej: Psychologja światopoglądu młodzieży (Szuman, Pieter, Weryński) — znajdziemy w krótkiem zestawieniu w artykule „Cierpienia światopoglądowe młodzieży". Doświadczalnie stwierdzone fakty nie odbiegają od potocznie przyjętych mniemań o światopoglądzie młodzieży (w wieku dojrzewania).

Wiek XIX w-g Z. Łempickiego (*„Oblicze duchowe wieku XIX-go"*) to całość kulturalna, obejmująca czasokres mniejwięcej od 1830 do 1930 r. Wszystkie objawy kultury duchowej XIX wieku dadzą się prawie bez reszty wyjaśnić tendencją, której obliczem w dziedzinie poznania jest doświadczenie a w dziedzinie praktyki wolność. Wolność i doświadczenie razem wytwarzają kapitalizm, przedsiębiorczość, podniecenie indywidualne — stąd „neurastenizm", dekadentyzm. — Śmiała synteza autora — ma znaczenie raczej dydaktyczne, bo uczy wiązać w jedno pozornie odległe zjawiska kulturalne. Merytorycznie — trudno określić kiedy wywody autora przestają być teorją naukową a zaczynają być naciąganiem faktów do zgóry przyjętych założeń.

Prof. St. Szober (*„Człowiek współczesny w zwierciadle języka"*) na podstawie analizy słownictwa współczesnego języka polskiego dochodzi do wniosku, że słusznie można scharakteryzować współczesną epokę jako taką, w której: 1) w życiu duchowem jednostki wzmogły się pierwiastki intelektualne, 2) w życiu społecznem grupa przeważa nad jednostką, 3) w postawie moralnej jednostki i społeczeństwa przeważa ilość nad jakością.

Prócz omówionych Nr. 1 zawiera jeszcze godne uwagi artykuły: Dyboskiego: Amerykanizm, A. Chętnika: Muzea regionalne, K. Wyki: Norwid jako poeta kultury. Ogólne wrażenie sprawia zeszyt dodatnie. Zastrzeżenie budzi jedynie pobieżność i brak szerszego uzasadnienia wygłaszanych poglądów w niektórych artykułach, które nie nadawałyby się ze względu na temat do „publicystycznego" ujęcia.

jr.

„Samca, dajcie mi samca"

„A jednak wiedziała czego pragnie, wiedziała tak dobrze, jak żadna kobieta i krzyczała przed siebie łapczywie (!)... jak kobiecie nie wolno jest krzyczeć". Tak pisze Irena Krzywicka („Wiad. Liter.", 4. IV. 1934, art. p. t. „Małżeństwo Wobicy"). Jest to pono nie autobiografja lecz tylko biografja kotki. Ciekawiśmy, czy to zdanie podzielą freudyści i co na to Piotruś? Zwracamy na to uwagę prof. Bychowskiego. Można to wziąć za punkt wyjścia do nowej monografji literackiej, opartej na psychoanalizie.

Ś. P. KS. ZYGMUNT LEWICKI

Przyp. Red. W związku z tworzeniem stypendjum im. ks. Z. Lewickiego poniżej zamieszczmy wspomnienie pośmiertne, skreślone przez jednego z tych, którym było dane bliżej poznać świetlaną postać Zmarłego.

21-go grudnia przeżywaliśmy dzień smutny: Dnia tego szliśmy za pogrzebem ks. Lewickiego. Z kościoła św. Jakóba aż na cmentarz antokolski niesiono trumnę na rękach. Na trumnie widniały barwy „Arconji" i dekel. Widok dekla nasuwał wiele myśli, budził różne refleksje. Musieliśmy sobie uświadamiać, musieliśmy narzucić przeświadczenie, że przecie idziemy za trumną kapłana i profesora, że to nie pogrzeb jednego z naszych kolegów. I doprawdy, uświadomienie sobie tego wymagało dużego wysiłku.

Ks. Lewicki był dla nas jakby kolegą. Miał ten rzadki dar, że każdemu kto go znał wydawał się dziwnie bliski, dziwnie swój. Ks. Lewicki lubił się z nami przekomarzać — mówił że jest filistrem korporacji, a więc korporantem i jako taki może mieć z nami dysonanse. Wyczuwaliśmy w tem tę prawdę, że rzeczywiście ks. Lewicki jest zawsze równie młody jak my, jak nasi koledzy. Dlatego, gdy w dniu pogrzebu patrzyliśmy na barwy korporacyjne rzucone na trumnę, to trudno było uświadomić, że to nie pogrzeb zmarłego kolegi.

Był ks. Lewicki jakby kolegą i przyjacielem, a razem z tem wydawał się jakby człowiekiem z innego świata, zdawał się być oderwany od życia. Można było myśleć, że ks. Lewicki nie zna, nie rozumie życia, które go otacza. Jakby nie widział całego kłębowiska egoizmów i walki o byt, jakby nie znał życia współczesnego, przepojonego serwilizmem i oportunizmem, gdzie wszechwładnie panuje materjalizm wszelkich gatunków, czy to zuchwały i agresywny, czy też zamaskowany i obłudny. Ks. Lewicki ufał ludziom, wierzył w przewagę pierwiastków dobrych w każdym człowieku, ks. Lewicki był optymistą. Był to optymizm dalekich, odległych perspektyw i optymizm wewnętrznej świętości. Ks. Lewicki był daleki dzisiejszemu światu, pomimo, że wkładał się we wszystkie nasze troski, umartwienia i nadzieje, daleki był jednak swą świętością, białością swego ducha. Dlatego też na życie bieżące patrzył zgóry, widział je w odległych perspektywach, a patrząc przez pryzmat swej wewnętrznej świętości widział je w barwach pogodnych, widział linje harmonijne i spokojne. Stąd ta jakaś nieziemska pogoda ducha, którą rozsiewał dokoła.

* * *

W ostatnich latach ks. Lewicki miał zwyczaj wychodzić codziennie na spacer w godzinach popołudniowych. Ks. Lewicki znał wiele interesujących a mało znanych fragmentów z przeszłości historycznej Wilna i lubił opowiadać o nich przygodnym słuchaczom. Te bardzo interesujące rozmowy były jednak wielce utrudnione. Wątek rozmowy ciągle się urywał przerywany przez osoby trzecie. Owe osoby trzecie to popularni wileńscy „dziennikarze" vel „żuliki" („pan kupić gazeta"). Coraz jakiś obywatel tego rodzaju zaczepiał ks. Lewickiego i wywiązywała się długa rozmowa. Dla niewtajemniczonych rozmowa ta była mało zrozumiała. Mówiło się zwykle o jakiejś matce lub siostrze, czasem figurował jakiś brat, któremu ksiądz obiecał wyrobić posadę i t. d. Czasami sam ks. Lewicki raptownie przerywał rozmowę, bowiem dostrzegał „żulika", który nie był Mu jeszcze znany. Taki dostawał skierowanie do Wincentynek, które badały jego sytuację materjalną i w razie stwierdzenia ubóstwa przechodził pod opiekę ks. Lewickiego, który jak mógł, tak się troszczył i pomagał. W dniu pogrzebu na kazaniu żałobnem słyszeliśmy zapewnienie, że zmarły bywał często w takiej sytuacji, że brakło mu grosza na najniezbędniejsze wydatki osobiste. Kaznodzieja prosił by przyjąć to dosłownie, mówił, że wie napewno iż często sytuacje takie się zdarzały. Oczywiście, tak być musiało! Zbyt wielu było protegowanych, zbyt wiele „żulików" miał ks. Lewicki pod opieką, by dla samego opiekuna mogło wystarczyć na niezbędne choćby wydatki.

PRENUMERATA

bez przesyłki		*z przesyłką*		*w Ameryce*	
półrocznie	**zł. 1.—**	**półrocznie**	**zł. 1.30**	**półrocznie**	**dol. 0.50**
rocznie	**zł. 1.90**	**rocznie**	**zł. 2.40**	**rocznie**	**dol. 0.90**

Cena pojedyńczego numeru 20 groszy. Prenumerata zagranicą: półrocznie 1 zł. 90 gr., rocznie 3 zł. 70 gr.

OGŁOSZENIA

Ostatnia strona okładki: Cała strona — 90 zł.; 1/2 strony — 55 zł.; 1/4 str. — 40 zł.; 1/8 str. — 19.50 zł.
Przedostatnia strona okładki: Cała strona — 80 zł.; 1/2 strony — 45 zł.; 1/4 str. — 30 zł.; 1/8 str. — 16.50 zł.

Redakcja i Administracja: Wilno, Uniwersytecka 9—9. Konto P.K.O. 144.229
Redakcja i Administracja czynna w poniedziałki, środy i piątki w godz. 19-20

REDAKTOR NACZELNY WŁADYSŁAW ARCIMOWICZ

Wydawca i Administrator Wacław Tarasiewicz ■ ■ ■ ■ Redaktor odpowiedzialny Wacław Tarasiewicz